

Opowieści
z
końca świata



Opole 2019

Ewelina Gac
Opowieści z końca świata

© Copyright by Ewelina Gac

Wydawca: Dia

Redakcja: Marta Kowerko-Urbańczyk / Twarda Oprawa

Korekta: Marzena Boniecka / Twarda Oprawa

Projekt okładki i grafiki: Marta Głowacka

Łamanie i skład: Anna Teodorczyk-Twardowska

ISBN: 978-83-955357-0-3

Druk i oprawa OPOLGRAF S.A.

Spis treści

Jak to wszystko się zaczęło 7

Część I:

Pamiętniki z Mersin,
krajny tureckich pomarańczy 11

Część II:

Patras. Nowe opowieści
ze starej greckiej cywilizacji 59

Część III:

Myrtle Beach.
Wspomnienia z amerykańskiego
wybrzeża 147

Część IV:

Czeski film z centrum Pragi 100

Część V:

Székesfehérvár.
Jak zostałam księgową
na Węgrzech? 175

Część VI:

Polska. Na stare śmieci 215

To nie jest zakończenie 247

Jak to wszystko się zaczęło

Dziesięć lat temu doskonale wiedziałam, jak będzie wyglądać moje życie. Miałam dość szczegółowy plan zawodowy na najbliższe lata, uwzględniający moje możliwości i ówczesne zapotrzebowanie rynku. Wszystko miało się odbyć mniej więcej według następującego schematu: studia, potem dająca mi możliwości rozwoju i satysfakcję praca w dużej firmie. Z roku na rok lepiej płatne stanowisko. Około trzydziestki chciałam już być mężatką.

Jednak po drodze wszystko poszło inaczej niż planowałam, choć nic się nie dzieje bez przyczyny. Mam poczucie, że nawet jeśli wydarzają się w moim życiu przypadkowe rzeczy, po czasie układają się one w pewien sensowny porządek – jakby to wszystko miało się stać.

Pierwszy krok w historii poszukiwania swojego miejsca na ziemi postawiłam, kiedy jako nastolatka wyprowadziłam się z domu. Nie wiedziałam, czego chcę, ale pragnęłam być samodzielna. Parę lat później wyjechałam z Polski, gdy poczułam, że to ostatni moment na zmianę czegoś w moim życiu. Nie żebym go nie lubiła – wręcz przeciwnie, w Polsce było mi naprawdę dobrze. Jednak są w życiu takie momenty, że po prostu trzeba zrobić coś całkiem innego. To się czuje, o ile się sobie na to pozwoli. Serce wyrывa się z piersi i krzyczy: „Zrób to teraz, Ewelina!”

W lutym 2014 roku zamieszkałam w Mersin w Turcji, a rok później podobną przygodę zaczęłam na greckim półwyspie Peloponez. Przez parę lat mieszkałam w różnych miejscach na ziemi, a trzy lata temu wróciłam do Polski, żeby sobie wszystko ułożyć od początku. Dziś, choć nie wiem, co się jeszcze w moim życiu wydarzy, wierzę, że słuchając swojego serca, znajdę właściwą drogę.

Mam nadzieję, że lektura tej książki, przybliży Was do podążenia swoją własną ścieżką.

Ewelina

Część I:

Pamiętniki z Mersin, krainy tureckich pomarańczy



Dlaczego Mersin?

Od zawsze z tyłu głowy towarzyszyła mi myśl, że chciałabym wyjechać na dłużej. Nie interesowały mnie zwykle wakacje, raczej kultura i zwyczaje, to ulotne „coś”, co można poczuć tylko podczas dłuższego pobytu. Mimo to podjęcie decyzji o wyjeździe wcale nie było proste. Czego się bałam? Miałam dość poukładane życie, z mnóstwem przyjaciół i pracą. Czułam, że porzucę dotychczasowe przyzwyczajenia i – zamiast jak dotąd być duszą towarzystwa –

odpocznę, wyciszę się. Wrócę inna. Zostawię przyjaciół, rodzinę i sama pojedę w nieznane, może odkrywając przy okazji nieznaną część siebie.

Gdy się jest studentem, sam wyjazd nie jest niczym trudnym. Na spotkanie dotyczące studenckiej wymiany zabrałam ze sobą formularz i... sporo optymizmu. Wypisałam dwie różne miejscowości. Kiedyś marzyłam o Włoszech – ale na moim wydziale nie było takiej możliwości. Potem o Hiszpanii – ale gdy doszły mnie słuchy, że dużo osób oblewa tam egzaminy, zmniejszył się mój zapał. Stypendium było ważną częścią mojego budżetu. Dlatego ostatecznie zaaplikowałam do Mersin, nadmorskiego miasta w Turcji.

Na decyzję złożyło się kilka powodów. To był mój ostatni rok studiów licencjackich, i wiedziałam, że jeśli nie teraz, to nigdy. No i... nigdy nie przepadałam za monotonią. Jeśli kilka lat z rzędu upływa w podobny sposób, zaczynam pragnąć odmiany, najlepiej diametralnej. Taki też miałam wtedy powód, by opuścić Opole, w którym zdążyłam już zapuścić korzenie.

Luty żegnają w Berlinie

Załatwienie papierów poszło zaskakująco szybko. Najbardziej kłopotliwe okazało się zdobycie wizy, ponieważ nie można było załatwić jej na lotnisku jak zwykłej wizy turystycznej. Nie miałam pojęcia, czy będzie to moje miejsce na ziemi, ale niczego się nie wie, do-

póki się tego nie spróbuje. Liczyłam na dobrą pogodę, która w lutym, jednym z najpochmurniejszych miesięcy w roku, byłaby sporym sukcesem. Miesiącem, w którym na nic się nie czeka, bo już dawno po świętach, a wciąż jeszcze tak daleko do lata i słońca.

Dlatego, popijając małego szampana w samolocie, podskakiwałam w myślach z radości. „Ahoj, przygodo!” – myślałam. Lot z Berlina to Adany trwał niecałe cztery godziny. Podczas niego towarzyszyła mi Agnieszka, studentka z Konina, której nie znałam do tej pory. Wiedząc, że podróżujemy razem, nawiązałyśmy kontakt i wspólnie zamówiłyśmy bilety. Później dołączył do nas Bartek, kolega, który miał z nami studiować. Cały czas rozmawiałyśmy o tym, co będziemy robić w Mersin. Poza nauką rzecz jasna. Wszyscy wiedzą, że nauka w przypadku studenckiej wymiany to rzecz całkowicie drugorzędna. Cieszyłam się, że Agnieszka знаła tam parę osób. Ja sama w Turcji nie miałam żadnych znajomych, bo absolutnie nikt z mojej uczelni do tej pory nie wybrał Mersin. Na szczęście bąbelki z szampana zadziałały – na tyle uderzyły mi do głowy, że przestałam się stresować.

Turecki misz-masz na dzień dobry

Z lotniska w Adanie odebrał nas mój mentor Ceyhan (*Dzejhan*). Niski Turek z brodą okazał się bardzo miły. Na dodatek przyjechał samochodem, a nawet nosił

za mną torbę jak prawdziwy dżentelmen z Europy! Zabrał nie tylko mnie i Bartka, ale też Agę i Ensara, który po nią przyjechał. Mimo że był luty, miałam wrażenie, że ugotuję się w aucie. Ceyhan ściągnął sweter, włączył radio, w którym leciały tureckie piosenki. Wydawał się trochę zakłopotany i zaczął szukać innej stacji, a szkoda, bo ja z przyjemnością posłuchałabym tej muzyki. Jechało nam się świetnie. Wydarzeniem tej przejażdżki okazał się fakt, że na autostradzie zobaczyliśmy... konia ciągnącego wóz, w którym jechali ludzie. Kompletnie mnie to zaskoczyło. Z wrażenia nikt z nas nie zrobił zdjęcia! Autostrada była w dobrym stanie, wszystko wydawało się czyste i zadbane, a tu nagle taki kontrast – ktoś jechał na koniu, bo był po prostu biedny. Dopiero lata później dowiedziałam się o tym, że samochód w Turcji to luksus, ponieważ podatki i koszty jego utrzymania są kilkukrotnie wyższe niż w Polsce.

Dojechaliśmy do mieszkania już po zmroku. Mieściło się w zwykłym bloku w centrum miasta, może pięć minut od nadmorskiego deptaku. Mieszkanie załatwiła mi uczelnia, pół roku przed moim przyjazdem. Wcześniej mieszkało tam kilka chłopaków. Ja miałam dzielić je z Bartkiem i Włochem Simonem, który dołączył do nas miesiąc później. Nawiasem mówiąc, Ceyhan był mocno zaskoczony, że dziewczyna mieszka z dwoma chłopakami. Wygląda na to, że w Turcji nie jest to dobrze widziane, ale nie przejęłam się tym jakoś specjalnie.

Mój pokój okazał się być przestronny: miałam poczucie, że duże łóżko, szafa i toaletka w zupełności mi wystarczą. Cieszyłam się, że Bartek zgodził się na takie rozwiązanie, bo u niego było dość ciasno i okno wychodziło na szyb windy. Tymczasem z mojego pokoju przez kuchnię aż do salonu ciągnął się balkon. Przestronny salon urządzony był w moim ulubionym, królewskim stylu.

Od razu zauważyliśmy, że w domu ewidentnie trzeba posprzątać. Bałagan był nie do zniesienia – wcześniej mieszkali w nim tylko chłopcy, Simone wraz z kolegami z Włoch i Polski. Dowiedziałam się też, że w drugim mieszkaniu studenckim znajdowały się same dziewczyny, ale w tym semestrze przyjechało nas więcej i ja już najzwyczajniej w świecie się nie zmieściłam. Jednak nie przeszkadzało mi to jakoś szczególnie, najważniejsze było dla mnie to, że miałam swój pokój.

Nauka tureckiego: języka i kultury

Byłam załamana, gdy pierwszego dnia nie potrafiłam zapamiętać najprostszego „dzień dobry”. „Günaydın” wpadało i wypadało z mojej pamięci, nie wspominając o wymowie. Do tej pory nie uczyłam się tak egzotycznego języka i nie spodziewałam się, że będzie to dla mnie takie trudne. Dobrze, że przynajmniej Bartek dukał po turecku w stopniu umożliwiającym zakup

wody w kiosku. Bo w Mersin Turcy słabo rozmawiali po angielsku. Szczerze mówiąc, „słabo” to mało powiedziane, właściwie nie mówili nic.

Udało mi się dowiedzieć, że ulica, na której mieszkam, to miejsce spotkań... prostytutek.

Wtedy jeszcze ich nie widziałam, choć słyszałam, że część z nich to transwestyci, co wydało mi się dość szokujące w kraju, gdzie dominującą religią jest islam. Początkowo wieczorem wołałam nie kusić losu i nie wychodzić sama, żeby mnie nie pomylili z jakąś prostytutką. Musiałam być ostrożna, bo moja uroda należy do tych wschodnioeuropejskich (czego się absolutnie nie wstydzę!), a w Turkach budziła ona często bardzo jednoznaczne skojarzenia z... najstarszym zawodem świata. Między sobą nazywali prostytutki „Nataszami”. A ja tak bardzo lubiałam i wciąż lubię to imię!

Już w pierwszych dnia dowiedziałam się też, że miasto dzieli się na cztery części. Dwie najważniejsze to: historyczna – Mezilti, gdzie są ruiny Soli oraz Yenışehir, czyli Nowe Miasto, z niezbyt starymi budynkami, które zaczęto budować w latach 90. Tam wydarzało się wszystko co najważniejsze. W Nowym Mieście był m.in. port jachtów, modne kafejki. Za to w starym, pośród kościołów i cerkwi, można było zjeść rybę z bułką, podawaną z herbatą i sałatkami. Dopiero potem usłyszałam, że w innych regionach np. Antalya czy Istambuł słono płaci się za takie przyjemności – herbata nie jest bezpłatna, a sałatek się nie uświadczy.

Mersin wydało mi się swojskie, mimo swojej wielkości. Może to urok starego, klimatycznego i pełnego interesujących ludzi miasta?

Pierwsza wycieczka na Staré Mjasto

Na pierwszą wycieczkę wybraliśmy się wspólnie z Agnieszką, Bartkiem i Ensarem. Wypłynęliśmy statkiem ze starego portu. Ensar tak się wytargował, że kosztowało nas to zaledwie 2 zł za osobę, choć rejs był naprawdę długi!

To był początek zaskoczeń – na pokładzie trwała impreza, a Turczynki tańczyły jak dyskotekowe diwy. Nie mogłyśmy uwierzyć, bo temperatura dobiegała 18 stopni, a one wciąż ubierały się w zimowe kozaki i ciepłe kurtki. My wystrojone i wyszykowane, czułyśmy się jednak onieśmielone – chwilę wcześniej ktoś pomylił nas z Rosjankami. Miejscowość tętniła życiem, mimo że nikt nigdzie się nie śpieszył. Przy nadmorskim deptaku można było usiąść w jednej z kawiarenek, zjeść czy napić się kawy. Alkohol sprzedawali tylko z drugiej strony ulicy, dlatego tam było pełno knajp i barów, otwartych głównie wieczorami. Niedaleko portu znajdowało się wesołe miasteczko, ale nie sprawiało dobrego wrażenia. Sprzęt wyglądał jakby był z trzeciej ręki, więc tylko mu się przyglądaliśmy. Za to wybraliśmy przejażdżkę cygańską bryczką po mieście i pędziliśmy dwupasmówką bez opamiętania. Czułam się jak w bajce, jakby tu wszystko było możliwe!



Czy życie pod palmami potrafi uleczyć smutki?
Co może nas spotkać na czeskim posterunku policji?
Czy Węgrzy faktycznie lubią Polaków?

Kilka lat temu poczułam, że to najwyższy czas, aby wyruszyć na poszukiwania swojego miejsca na ziemi. Wszystko zaczęło się od studenckiej wymiany, która nie tylko zmieniła moją rzeczywistość, ale też plany. Opowieści z końca świata nie są typową książką o podróżowaniu. To historia o życiu, jego zakrętach i... przeznaczeniu. I o tym, że szukając swojego miejsca na ziemi, możemy się dowiedzieć, że jedno takie nie istnieje.



Ewelina Gac

Autorka bloga podróżniczego W poszukiwaniu końca świata. Zanim wyjechała do Turcji na studencką wymianę nie spodziewała się, że będzie studiować ekonomię w Grecji, sprzedawać lody w Stanach Zjednoczonych, studia skończy w czeskiej Pradze i zostanie księgową na Węgrzech.